

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 3 (11)

WARSZAWA

1954

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY I UTWORY LITERACKIE

Franciszek Trawnicki, <i>Penetracja amerykańska w Wietnamie po II wojnie światowej</i>	203
Borys Eppel, <i>Kilka uwag o prasie tureckiej 1953 roku</i>	215
Ananiasz Zajączkowski, <i>Z dziejów orientalizmu polskiego Doby Mickiewiczowskiej</i>	221
Szems-ed-Din Hafiz Szirazi, <i>Gazel</i> (przełożył z perskiego Ananiasz Zajączkowski)	246
Jan Reychman, <i>Próby organizacji orientalistyki polskiej w Dobie Mickiewiczowskiej</i>	247
<i>Pieśń harfiarza</i> , (przełożył z egipskiego Tadeusz Andrzejewski)	265
Mori Oga i, <i>Łódź „Takase“</i> (przełożył z japońskiego Wiesław Kotański)	267
<i>Atābāt</i> , (przełożył z arabskiego Władysław Tubielewicz)	275
Sabahattin Ali, <i>Czajnik</i> (przełożył z tureckiego Edward Tryjarski)	277

Z PRACOWNI REKOPISÓW ORIENTALNYCH

Renata Kohnowa, <i>Zbiory rękopisów wschodnich w bibliotekach wrocławskich</i>	283
Eugeniusz Słuszkiewicz, <i>Trzy rękopisy ormiańskie z I-ej połowy XVII w. ze zbiorów polskich</i>	292

MATERIAŁY I NOTATKI

Tadeusz Andrzejewski, <i>Odnalezione „Nauki księcia Dedefhor“</i>	295
Włodzimierz Zajączkowski, <i>O poprawną pisownię imion i nazw orientalnych</i>	296
Aleksander Dubiński, <i>Pawilon PRL na Międzynarodowej Wystawie w Izmirze</i>	297
Wiesław Tomaszewicz, <i>Nieznany przekład H. Sienkiewicza na język turecki</i>	298

RECENZJE

Z książek:	
Jan Reychman, <i>Oczerki po istorii russkogo wostokowiedienija</i>	299
Witold Jabłoński, <i>Ludwika Rodziewicz, Historia sztuki chińskiej</i>	303
Stanisław Kałużyński, <i>Łukasz Hirba, Nowa Mongolia</i>	304
Aleksander Dubiński, <i>Akadiemiku Władimiru Aleksandrowiczu Gordlewskomu k jego siemidiesiatipiatiletju. Sbornik statiej</i>	307
Stanisław Kałużyński, <i>S. I. Rudenko, Kultura nasilenija gornogo Ałtaja w skifskoje wremja</i>	310
Notatki bibliograficzne:	
Włodzimierz Zajączkowski, <i>Dorobek wydawniczy turkologii radzieckiej w latach 1951—1953</i>	312
Z czasopism	

KRONIKA

Zygmunt Rysiewicz	
Z ruchu naukowego na polu orientalistyki:	315
Międzynarodowy Zjazd w Teheranie z okazji 1000-lecia Awicenny	315
XIII Zjazd Orientalistów Polskich w Warszawie	315
Uczczenie pamięci akademika I. J. Kraczkowskiego przez delegację egipską w Leningradzie	317
Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie	317

SPIS TABLIC

Do przekładu A. Zajączkowskiego: Szems-ed-Din Hafiz Szirazi <i>Gazel</i>	Tab. I—II
Do art. R. Kohnowej, <i>Zbiory rękopisów wschodnich w bibliotekach wrocławskich</i>	Tab. III—IV

*

Winieta na okładce przedstawia tragarza w zawiei śnieżnej według rysunku malarza japońskiego Ando Hiroshige (1797—1825)

SABAHATTIN ALI

C Z A J N I K

W suterenie, w małym szpitalnym pokoiku z oknami przysłoniętymi żelazną kratą, leżało nas pięciu. Ponieważ więzienie nie miało własnego lekarza ani ambulatorium, chorzy więźniowie leżeli w ogólnych sypialniach dopóki ich stan się nie pogorszył i — o ile tylko udało im się zdobyć pieniądze na furmankę — sprowadzali sobie lekarza miejskiego. Ten stary, wąły człowieczek z siwymi, rozdzielonymi starannym przedziałkiem włosami badał chorych z wyraźną odrazą nie dotykając ich nawet ręką i bojąc się nie istniejącej w zasadzie odpowiedzialności większość z nich kierował do szpitala.

Ponieważ jednak w szpitalu sala przeznaczona dla więźniów nie mieściła więcej niż pięć osób, widać było stale, jak odsyłani przez specjalistę więźniowie wracali do więzienia razem z receptami, na które nigdy nie mieli otrzymać lekarstw, odpoczywając na skraju drogi i paląc chciwie papierosy wciśnięte im przez żandarmów w skute kajdankami ręce.

Leżałem w łóżku cierpiąc na ostre bóle ucha. Osłaniając „czapką“ szklaną gorącej wody z zakroplonym lekarstwem, od rana do wieczora wciągałem przez nos parę; książki czytałem rzadko, często natomiast wyciągnięty na posłaniu wlepiałem oczy w biały tynkowany sufit.

Łóżko obok mnie zajmował pewien kupiec towarów kolonialnych, skierowany na sześciomiesięczne przymusowe leczenie w szpitalu na skutek nadużywania haszyszu. Nigdy nie przesiadywał w ogólnej sali, tylko na korytarzu, gdzie przyjacielsko gawędził z żandarmami. Ponieważ nie był obłożnie chory, a przebywał tu już czas dłuższy, było mu bardzo dobrze między pielęgniarkami i żandarmami, nie miał też żadnych trudności w zaopatrywaniu się w codzienną dawkę narkotyku.

Po drugiej stronie jego łóżka leżał Sulejman efendi, były komornik sądowy, skazany na dwa i pół lata za branie łapówek i malwersacje. Miał zapalenie płuc, ale wydawało się, że mimo podeszłego wieku niebezpieczeństwo już minęło. Młody lekarz-internista uśmiechał się podczas rannych wizyt, głaskał go po plecach i mówił:

— Jakoś wykaraskaliśmy się, ojcze!...

Dwaj pozostali chorzy byli to wieśniacy, skazani za zabójstwo na piętnaście lat. Jeden z nich zabił swego rywala, drugi — sąsiada w czasie kłótni o wodę do nawadniania pola. Obaj cierpieli na jakieś dosyć poważne choroby jelitowe. Przerazająco chudzi, o wyzółkłych twarzach, byli zdumiewająco podobni.

Wydawało się, że w izbie nigdy nikt nie mówi z wyjątkiem Sulejmana efendi.

Kupiec-narkoman, kiedy był w łóżku, siedział na nim ze skrzyżowanymi nogami wlepiając wzrok w pomalowaną na biało poręcz łóżka.

Jeden z chłopów był tak osłabiony, że nie mógł się podnieść z łóżka i cały dzień leżał bez ruchu z twarzą zwróconą do ściany. Drugi, imieniem Satyłmysz, był trochę silniejszy. Od czasu do czasu się odzywał, a kiedyś nawet opowiedział, jak raz powalił na ziemię pewnego człowieka, który zaczął się w lesie i próbował zabić własnego ojca.

Sulejman efendi natomiast — mimo wielkiego osłabienia i trudności w oddychaniu — mówił bez przerwy okrągły dzień. Swym bezustannym gadaniem dokuczał posługaczom, którzy wczesnym rankiem przychodzili słać łóżka, pielęgniarkom przynoszącym śniadanie, siostrze wypytywającej o zdrowie i wizytującemu lekarzowi. Niczym nie można go było zadowolić. Gdy tylko kogoś przydybał, zaraz zaczynał skarżyć się na innych. W zapale nie zwracał uwagi na to, czy go słucham czy nie, i na temat kupca-narkomana plótł wszystko, co mu ślina na język przyniosła:

— No i co, czy nie jest wszystko tak, jak mówiłem?

Gdy zaś kupiec wszedł do izby, sadzał go na swoim łóżku i obmawiał mnie tak głośno, że wszystko słyszałem:

— No, czy on nie jest głupi? Ciągłe tylko czyta książki i rozmyśla. Ja też dużo czytałem, ale niewiele mi z tego przyszło. Ciekawym, jaki on ma powód do dumy? Ja też jestem panem, ale na nikogo z góry nie patrzę...

I mówił tak dalej, póki rozmówca — nie czujący często nawet potrzeby zachowania pozorów — nie umknął. Chwilami odpoczywał przymykając ze zmęczenia oczy i opierając głowę o poduszkę albo wybałuszał oczy wskutek ataku kaszlu. Gdy jednak tylko zdawał się trochę przychodzić do siebie, zaczynał mówić znowu:

— Zlitujcie się! I to mają być lekarze? To już ja znam się lepiej od nich na tych sprawach... Smarkacz nie odrósł jeszcze od ziemi, a będzie mnie uczył rozumu! Ja też umiałem przyłożyć mu kataplazm. W oczy to doktorowi powiedziałem... A te zastrzyki — to robi w jakieś nieodpowiednie miejsce... A czy w ogóle zastrzyki pomagają przy zapaleniu opłucnej? A potem, jak to on mi stanowczo powiedział: „nie pij herbaty, szkodzi!“ O Allah, Allah! Widziane to rzeczy, żeby komu zaszkodziła herbata?

W tym miejscu przerywał i krzyczał:

— Satyłmysz! Przynieś czajnik!...

Satyłmysz wyskakiwał z łóżka, na którym leżał, wciągał stare, wielkie szpitalne bambosze na wychudłe nogi, które na kostkach miały odcień woskowej świecy, brał z rozpalonego piecyka imbryk, z okna filiżankę i szedł do „ojca“.

Sulejman efendi wybrał Satyłmysza — nie uważając nawet za potrzebne zapytać go o zdanie — na swego osobistego służącego. Wydawał rozkazy z taką pewnością siebie i swobodą, że chłopakowi nawet na myśl nie przyszło nie posłuchać.

— Satyłmysz, synu, wynieś tę spluwaczkę!... albo:

— Satyłmysz, zawołaj no żandarma, daj mu te pięć piastrów, niech mi kupi cukru!...

Gdy to mówił, wychudły chłopak chwycił cienkimi jak patyki palcami za pręty łóżka i robił to, co mu kazano. Despotyzmowi starca nie potrafili prze-

ciwstawić się nawet żandarmi, którzy chociaż czasem mruknęli coś pod nosem, znosili jednak te dodatkowe zajęcia.

Kiedy Satyłmysz napełnił szklanę herbatą i podał ją Sulejmanowi, ten prostował plecy, opierał się o ścianę, wolniutko poruszał wielką głową, świecąca na czubku łysiną, i gładząc ręką gęste wąsy, które wciskały mu się do ust, przygotowywał się do picia. Chociaż siostry szpitalne, zastając go w takiej pozycji, kilkakrotnie zwracały mu uwagę, by nie wychodził spod kołdry i nie opierał się plecami o ścianę, on patrzył za nimi z pełnym lekceważenia uśmiechem i robił nadal to, co uważał za stosowne.

Po wypiciu herbaty znowu żądał od Satyłmysza czajnika, podnosił popsutą pokrywkę, zaglądał do środka, po czym z miną dobroczyńcy, który podarował co najmniej majątek ziemski, mówił:

— I ty sobie troszkę wypij! — i podawał Satyłmyszowi kawałek cukru. Gdy tylko herbata rozgrzała go od wewnątrz, a przerwa między atakami kaszlu była nieco dłuższa, rozgadywał się na dobre.

Jeżeli w pokoju ktokolwiek z nas zaczął mówić na jakiś temat, natychmiast przerywał mu w pół słowa:

— To wcale nie jest tak, jak ty sądzisz... — i sam już mówił dalej. W każdym dopatrywał się jakiejś przywary, każdego chciał pouczyć nie w jednej, ale kilku kwestiach. Nawet biedny Satyłmysz, gdy opowiadał o swoich perypetiach, nie mógł uchronić się od interwencji Sulejmana efendi i musiał od starca usłyszeć „prawdę“ o wydarzeniu, którego sam był uczestnikiem. Między jednym atakiem kaszlu a drugim starzec mówił:

— Nie, nie... to wcale nie tak, jak ty mówisz!... Gdybyś ty tam leżał, nie zabiłbyś nie tylko człowieka, ale nawet najmniejszego ptaszka. Nawet nie wiesz, gdzie on tę zasadzkę urządził...

W ten sposób zapuszczał się w długie rozważania na temat miejsca przestępstwa, a rzeczywisty jego uczestnik przysłuchiwał się tym wywodom ze zdziwieniem, a nawet z szacunkiem. To, co mówił ten starszy pan, nie odpowiadało prawdzie, tak jednak zręcznie wiązało się ze sobą, że w każdym razie prawdą być mogło.

Zbliżała się wiosna. W pokoju palił się bez przerwy mały żelazny piecyk. Gdy zaczynały się wieczorne chłody, ziębnięci na korytarzach żandarmi brali swe stołki i przychodzili do naszej izby. Oparłszy broń na ramieniu siedzieli w słabym świetle żarówki żartując z kupcem-narkomanem.

Sulejman efendi, choć wieczorami miewał wyższą temperaturę, nie omijał okazji, by włączyć się do rozmowy. Albo dawał żandarmom rady, albo im za coś wymyślał, a gdy temperatura podnosiła się jeszcze bardziej, zaczynał coś mówić lub krzyczeć bez sensu.

W ostatnich dniach stan jego zdrowia pogorszył się znowu. Było to po części winą pielęgniarzy, którzy przykładając mu w nocy kataplazmy zostawiali go na pół godziny z gołymi plecami, po części jego własną. Kiedy bowiem otwieraliśmy okno, by przewietrzyć zatechłą izbę, nie słuchał nas, gdy mu mówiliśmy, by dobrze okrył się kołdrą, ale nastawiał obnażone piersi na wiatr wpadający przez otwarte okno i mówił:

— Taki wiatr to człowiekowi nie zaszkodzi... To wcale nie jest tak, jak wam się zdaje... Ten wiatr wieje od góry Takkeli i tylko zdrowie człowiekowi przynosi — i wdychał do chorych płuc marcowe powietrze.

Satyłmysz ciągle mu usługiwał w zamian za otrzymywaną raz na dzień szklanekę słabo posłodzonej herbaty. Jego wygłodzony żołądek też z pewnością oczekiwał z utęsknieniem tych kilku łyków gorącego płynu, pitych w tajemnicy przed lekarzem. Tymczasem jednak Sulejman efendi nie mógł już pić herbaty oparty o ścianę. Zdarzało się nawet, że płyn rozlewał, jeśli Satyłmysz nie przyszedł mu w porę z pomocą. Ręce zaczynały mu drżeć, oczy wpadały głęboko.

Pewnego dnia posadził chłopaka na łóżku kupca-narkomana i powiedział:

— To wcale nie tak, jak ty mówisz... W ten sposób nie zabija się człowieka... Posłuchaj, ja ci powiem... — i niespodziewanie zaczął na inny temat:

— Naczelný sekretarz kupił sobie za skradzione pieniądze dwa domy i chodzi na wolności, a nas wpakowano do więzienia — przypomniał fakt skazania, o którym dawniej nigdy nie mówił. Do odbycia kary pozostawało mu półtora miesiąca i synowi, który odwiedzał go raz na tydzień, wydawał już polecenia w sprawie interesów czekających nań za murami więzienia. Syn trochę niedorozwinięty, który chociaż wyglądał na osiemnaście lat, chodził z głupkowatą miną pięcioletniego dziecka, wysłuchiwał dawanych mu poleceń nie odpowiadając ani słowem i kiwał tylko głową na znak potwierdzenia.

W ciągu kilku dni stan starca się pogorszył. Kości policzkowe wysunęły się jeszcze bardziej, a oczy dziwnie świecące wpadły jeszcze głębiej. We dnie najczęściej leżał nieprzytomny i majaczył, w nocy zaś rzucał się, kaszlał, jakby się miał udusić, i ciągle jęcząc nie dawał nikomu usnąć. Po dwóch nieprzespanych nocach wyrwało się kupcowi-narkomanowi:

— Nie mógłby to już raz zdechnąć!

Tylko Satyłmysz nie zaniedbywał się w swych posługach i za każdym razem, gdy starzec na nowo zaczynał bredzić w malignie, unosił z poduszki głowę i pytał:

— Może wam czego potrzeba, ojcze?

W końcu którejś nocy głos jego zamilkł na zawsze. Dyżurne siostry, które w ostatnich dniach często zaglądały do naszej izby, natychmiast przyszły z noszami i zabrały ciało zmarłego. Wyniosły również jego posłanie. Jeszcze nie skończyły swej pracy, gdy wszyscy czterej pogrążyliśmy się w głębokim śnie.

Po rannej wizycie z korytarza znajdującego się na przeciw naszej izby doszły nas niespodziewanie jakieś rozmowy i odgłosy kroków. Jeden z żandar mów wsuwając głowę przez drzwi powiedział:

— Rodzina ojca się zesła!...

Po chwili wszedł do izby niedorozwinięty syn zmarłego. Na pustym łóżku rozłożył dość dużą płachtę i wszystko, co zostało po zmarłym na oknie lub pod łóżkiem, zaczął na niej układać. Kilka razy wyciągał rękę po rzeczy kupca, ten jednak niezwłocznie protestował:

— Zostaw ten zegarek!... Czy twój ojciec miał taki zegarek? Nie bądź za sprytny!

Chłopak zebrawszy wszystko, co znalazł, wyszedł z izby. Przez drzwi widać było teraz część korytarza, w którym stało kilka kobiet z gromadką dzieci. Wyglądało to na najście wszystkich krewnych. Znajdująca się wśród nich starsza, dość korpulentna kobieta kazała chłopcu położyć na ziemi przyniesiony węzełek i otworzyć go. Następnie przejrzała wszystkie przedmioty, jakie się w nim

znajdowały, i odwracając się do syna powiedziała kilka słów zaniepokojonym głosem. Chłopak znowu wszedł do naszej salki i rozglądając się dokoła zapytał:

— A gdzie jest nasz czajnik?

Ponieważ od czterech czy pięciu dni nie gotowało się herbaty, ów emaliowany imbryczek z popsutą pokrywką i poobtlukiwaną polewą gdzieś się zawieruszył. W każdym razie musiał go gdzieś zapodziać Satyłmysz. Jego jednak zabrano przed chwilą do laboratorium w celu pobrania treści żołądkowej.

— Nie denerwuj się, znajdzie się! — powiedział kupiec-narkoman.

Na dźwięk tych słów wetknęła przez drzwi głowę owa korpulentna, czerwona na twarzy kobieta:

— Co to znaczy? Oczywiście, że musi się znaleźć!... — po czym zwróciła się do chłopca i surowo powiedziała:

— Ty na nich nie zwracaj uwagi i tylko dobrze szukaj, Wedzihi, na pewno inne rzeczy także jeszcze pozostały...

Ale czajnika nie było nigdzie. Starannie obmacali zwisającą z poręczy łóżka torbę Satyłmysza zrobioną z amerykańskiego płótna, która zawierała cały dobytek tego biedaka, jednak w jej wnętrzu nie było nic podobnego do czajnika. Kobieta stała przed drzwiami i coś mówiła. Widząc przechodzącą siostrę i pielęgniarkę zatrzymała ich, wciągnęła do salki, po czym zaczęli poszukiwania wszyscy razem.

Cisnąc się i popychając w wąziutkiej izbie przetrząsnęli miejsce pod łóżkiem, kąć zawalony drzewem do pieca i kuferki chorym. Leżałem cicho z twarzą odwróconą do ściany. Żona zmarłego szturchnęła mnie w plecy pytając:

— Pst... nie wiesz, co się stało z czajnikiem?

— Proszę nie niepokoić chorych! Później się znajdzie! — wtrąciła się siostra. Ale kobieta, jakby tylko na to czekając, wrzasnęła:

— Co to znaczy „później się znajdzie“? Jak się teraz nie znajdzie, to już zginie na zawsze. A gdzież to my się znajdujemy, proszę pani? Przecież to sypialnia więźniów, łóżka złodziejów. Oni potrafią ukraść nawet czernidło z oczu... Czy uczciwy człowiek może mieć z nimi coś wspólnego?

Następnie zwracając się do nas powiedziała jakby z groźbą:

— Powiedzcie, gdzie jest! Bo jeżeli u któregoś z was się znajdzie!... — i kolejno przebiegła wzrokiem po każdym z nas.

Siostra wzięła ją pod rękę i wyprowadziła na korytarz, ale kobieta nie zamilkła ani na chwilę.

— Do dyrektora pójdę! Do naczelnego lekarza! — darła się na korytarzu. Chwyciła za ramiona żandarmów:

— Słuchajcie, kochani, wy znacie odpowiednie sposoby, niech oni się zaraz przyznają i wyciągną stamtąd, gdzie wsadzili!

W tym momencie wszedł Satyłmysz prowadzony pod ramię przez dwóch posługaczy. Po przebytych cierpieniach znajdował się w stanie godnym politowania. Gdy był jeszcze we drzwiach, kupiec zapytał go:

— Satyłmysz, nie widziałeś gdzieś czajnika staruszka?

Chłop kładąc się do łóżka z pomocą posługaczy kiwnął głową na znak potwierdzenia i powiedział do jednego z nich:

— Przynieś go zaraz! Potem zwrócił się do nas:

— Wieczorem stan ojca raptem się pogorszył — powiedział. — Spojrzałem, wydawało mi się, że jego czas już nadszedł, żywej duszy przy nim nie było, chciałem mu wlać do ust łyk wody. Dałem czajnik Izmailowi i posłałem go do kuchni. „Przynieś trochę ciepłej wody!” powiedziałem. Ale zanim ten zdążył wodę przynieść, ojciec wyzionął ducha. Tak los zrządził. Tak było mu przeznaczone.

Posługacz Izmail przyniósł czajnik i oddał go kobiecie. Matka i syn zaczęli na nowo przewiązywać węzełek. W tej chwili nadszedł dyrektor administracyjny szpitala i powiedział kilka słów do kobiety. Ta znowu poczerwieniała na twarzy:

— Co to ma znaczyć?... Jak umarł pod opieką państwa, to niech państwo sprzątnie jego ciało! Ja ręką nie tknę i grosza nawet nie dam. Kiedy zabiliście mi męża gdzieś w kącie więzienia, w którym go trzymaliście do ostatniej chwili, to teraz chcecie, żebym zabierała jego zwłoki?... Nie chcę. Róbcie sobie, co się wam podoba!...

Wtykając synowi węzełek do ręki powiedziała:

— Czego stoisz? Idź! Jak jeszcze trochę poczekamy, to nas całkiem ograbia!...

Następnie odwróciła się do stojących w pobliżu kobiet i dzieci i powiedziała:

— A was też!...

Jeden z chłopców, wyglądający najwyżej na dziesięć lat, zapytał:

— A nie zobaczymy stryjka?

— Nie chcę... nie mogę... serce mi pęknie... Czy się kiedy kto dowie, do jakiego stanu oni doprowadzili mojego męża, silnego jak lew? Zlitujcie się, dzieci! Czy zniosą to wasze serca?... Jestem zrujnowana!

Krzyczała głośno i zanosila się od płaczu. Wylizowała zalety zmarłego, lamentowała, że umarł niewinnie w więzieniu, szlochała.

Teraz syn zaczął ją popychać. Cała rodzina krzycząc i płacząc oddalała się w drugi koniec korytarza.

W tej chwili Satylmysz powiedział do wchodzącego posługacza Izmaila:

— Rozwiąż mi tę torbę!

Rozchyliwszy torbę z amerykańskiego płótna wyciągnął z niej parę wełnianych pończoch, kilka haftowanych chustek, jedną zmianę bielizny, a na koniec mały woreczek, który wypróżnił. Po białej kapie łóżka potoczyły się trzy dziesięciokuruszowe monety. Satylmysz wziął dwie i podał Izmailowi.

— Weź to i zrób dobry uczynek: kup dzbanek — powiedział. — Zmarłego pochowają pewnie bez całunu, to mu chociaż teraz wylej na mogiłę ze dwa dzbanki wody...

Resztę przedmiotów schował do torby, powiesił ją przy sobie i kładąc zmęczoną głowę na poduszkę wlepił oczy w biały sufit.

Przełożył z tureckiego
Edward Tryjarski